Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

50 GR

WIEM WSZYSTKO

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 31 | Warszawa, Niedziela, 23 sierpnia 1936 r. | Rok I

„CZY PAN JEST GENTLEMANEM...“

Dalszy etap sensacyjnego zatargu między por. Kopińskim, a prezesem P.K.O. dr. Gruberem

Poprzedni numer naszego pisma przyniósł sensacyjny prolog niezwykłego zatargu między wszechwładnym prezesem Pocztowej Kasy Oszczędności p. Henrykiem Gruberem, dzisiaj jednym z najpotężniejszych finansistów polskich, a skromnym inwalidą wojennym, porucznikiem pospolitego ruszenia p. Stanisławem Kopińskim.

Pozornie błahy i mało znaczący zatarg służbowy, przerodził się, jak mogliśmy zaobserwować to już w poprzednim numerze, w niezwykły skandal, którego, niestety, *smutnym bohaterem stał się właśnie p. Henryk Gruber*, a ofiarą — wspomniany wyżej por. Kopiński.

NIEWIDZIALNY WŁADCA

Zanim przystąpimy do odtwarzania dalszego przebiegu wypadków w tej nad wyraz smutnej sprawie, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że pozornie mało istotny zatarg między instytucją a jej pracownikiem, w wielu już wypadkach urastał do tragicznych wręcz rozmiarów, tylko dlatego, że wydalony pracownik nie miał możności wyłożenia swych żalów przed najwyższym zwierzchnikiem. To oddzielanie naczelnego dyrektora czy prezesa danej instytucji chińskim murem od szarego pracownika, w przeciągu ostatnich lat stało się przyczyną wielu, *niejednokrotnie krwawych tragedyj*.

Oczywiście znakomicie zdajemy sobie sprawę z tego, że kierownik danej instytucji ma wiele kłopotów i wiele spraw stokroć ważniejszych od interesowania się przyczynami redukcji drobnego pracownika, ale wiemy jednocześnie, że dla tegoż pracownika kwestja utraty posady, jest kwestją *życia lub śmierci*, a więc kwestją najważniejszą.

PIERWSZY LIST I...

Por. Kopiński, chociaż sterany latami służby wojskowej i peowiackiej, chociaż zmaltretowany nędzą i kłopotami, w jakich znalazł się po, niesłusznem w jego mniemaniu dyscyplinarnem zwolnieniu z P. K. O., ani na chwilę nie stracił spokoju i opanowania.

Dnia 2-go kwietnia 1931 roku napisał do mieszkania prywatnego p. Grubera list polecony, prosząc o łaskę ponownego rozpatrzenia jego sprawy i decydującą odpowiedź. Na tę odpowiedź por. Kopiński *załączył znaczki pocztowe* i czekał cierpliwie dwa miesiące.

...POLICJA POLITYCZNA

Czekałby być może dłużej, gdyby nie spadł na niego ponowny, zupełnie niespodziewany grom. Oto 1-go czerwca 1931 r. do mieszkania nieskazitelnego dotychczas inwalidy wojennego, legjonisty i oficera rezerwy, wkroczyli... funkcjonarjusze *policji politycznej* i przedstawiając nakaz rewizji nr. 84, podpisany przez dyżurnego oficera urzędu śledczego, rozpoczęli poszukiwanie... ulotek zniesławiających prezesa P. K. O. p. Henryka Grubera.

Pomijając dziwny nieco, w naszem pojęciu, fakt posługiwania się w podobnych sprawach funkcjonarjuszami policji politycznej, rozumiemy doskonale psychiczny stan por. Kopińskiego, którego rewizja policyjna spychała do rzędu zwykłych rzezimieszków. Nie trzeba dodawać, że cel tej rewizji był dość przejrzysty, a efekt znów tragiczny dla por. Kopińskiego, bowiem wizyta policji wpędziła małżonkę jego w *ciężką chorobę nerwową*, a samemu Kopińskiemu w dużym stopniu poderwała kredyt moralny i tak mocno nadszarpnięty dyscyplinarnem zwolnieniem z P.K.O.

SKARGA DO PROKURATORA

Oczywiście wywiadowcy żadnych ulotek nie znaleźli, a rozgoryczony w najwyższym stopniu por. Kopiński złożył do Prokuratora Sądu Okręgowego skargę, w której domagał się pociągnięcia do odpowiedzialności karnej zarówno prezesa P.K.O. p. Grubera, jak i ówczesnego Naczelnika Wydziału Bezpieczeństwa Komisarjatu Rządu p. Lisowskiego. Pierwszego oskarżał por. Kopiński o to, że wykorzystując stanowisko prezesa P.K.O. w złej wierze doniósł władzom bezpieczeństwa o posiadaniu i kolportowaniu przez Kopińskiego nielegalnych ulotek, drugiemu zaś zarzucał por. Kopiński, iż mając prawo stosowania represyj wobec osób istotnie podejrzanych, wydał rozkaz dokonania rewizji w mieszkaniu Kopińskiego *lekkomyślnie i bez sprawdzenia doniesienia*.

SPRZECZNE ZEZNANIA

Prokurator, przesłuchując urzędnika P. K. O. dr. Gawlika, dowiedział się od niego, że to właśnie p. Gawlik doniósł nacz. Lisowskiemu, iż por. Kopiński telefonował do sekretarza osobistego prezesa P.K.O. domagając się natychmiastowego rozpatrzenia jego sprawy, bowiem w przeciwnym razie rozkolportuje zniesławiającą p. Grubera ulotkę.

Natomiast p. Lisowski wyjaśnił, że wiadomość o ulotkach otrzymał ze *źródła konfidencjonalnego* i źródła tego nie może wyjawić... W rezultacie dochodzenie zostało umorzone.

DRUGI LIST

W międzyczasie w sprawie por. Kopińskiego interwenjował Związek Oficerów Rezerwy, niestety, również bez skutku. Ponieważ brak odpowiedzi na pismo polecone z dn. 2 kwietnia 1931 roku wykluczał możliwość nieświadomego działania prez. Grubera, por. Kopiński usiłując utrzymać się na powierzchni życia, wysłał do mieszkania prez. Grubera w dn. 6 grudnia 1932 r. drugi list. Treść jego przytaczamy dosłownie:

„Wielmożny Panie Prezesie!

Nawiązując do pisma mego, które w kwietniu 1931 r. wysłałem na ręce WPana Prezesa, uprzejmie niniejszym komunikuję Mu, choć na owe pismo odpowiedzi nie otrzymałem (pomimo, że na koszta odpowiedzi załączyłem znaczek pocztowy za 0,75 gr.), że w dn. 18 listopada 1932 r. umotywowanem podaniem moim przekazanem listem poleconym na ręce Naczelnika Wydziału Ogólnego P.K.O. p. Januszewskiego, prosiłem o wznowienie postępowania dyscyplinarnego w sprawie pozbawienia mnie pracy w P.K.O., za rzekomo samowolne porzucenie służby w P.K.O.

Prócz powyższego, pragnę niniejszem pismem:

1) Zakomunikować WPanu Prezesowi, że dzięki rozprawie w Sądzie Pracy Warszawa III w dniu 29 października 1932 r. zdołałem wreszcie ustalić, wbrew „miarodajnym“ zaprzeczeniom Władz P.K.O., iż WPan Prezes, tak samo jak ja padł ofiarą bezkrytycznego zaufania w prawdziwość informacyj o mojej sprawie, bowiem informacje te komunikowali Mu mało uczciwi, bo zainteresowani w zagmatwaniu sprawy mojej w P.K.O., podlegli Jemu urzędnicy P.K.O. Możliwe, że ja mylę się w ocenie uczciwości i rycerskości d-ra Gawlika i d-ra Wyżykowskiego.

2) Zawiadomić WPana Prezesa, iż za wszystkie poprzednio pisane listy moje, które obrażają Go, gotów jestem *przeprosić i uznać fakty*, opisane w owych pismach moich, za niebyłe, o ile WPan Prezes zawiadomi mnie, że istotny stan sprawy mojej, nie był Mu dotychczas dokładnie znany i że, wyżej opisana sprawa dyscyplinarna, będzie wznowiona. Nadmieniam, że tylko brak osobistego wyjaśnienia Pana Prezesa (trzykrotna odmowa udzielenia mi audjencji i brak odpowiedzi P. K. O. z Jego podpisem, na moje zapytania), zmusiła mnie do uwierzenia, że WPan Prezes w sprawie między mną a P.K.O. nie postąpił uczciwie.

3) Podać do łaskawej wiadomości WPana Prezesa, że sprawę dochodzenia mych pretensyj do P.K.O. — która nie jest szantażowaniem Jego, ani moim manjactwem, będę tak długo prowadził, *aż zwyciężę*, bowiem pozbawienie mnie pracy w drodze dyscyplinarnej w P.K.O. za rzekome samowolne porzucenie służby, przeszkadza mi, powoływać się na moją przeszłość.

Jednocześnie uprzejmie komunikuję WPanu Prezesowi, że niniejszy list został napisany jeszcze i z tego powodu, żeby ewentualnym brakiem odpowiedzi, lub brakiem decyzji Jego, w sprawie znanych Mu pretensyj moich do P.K.O. zastąpić, nieposiadane dotychczas, dowody złej woli WPana Prezesa.

Brak tedy decyzji, względnie odpowiedzi Jego, pozwoli mi wreszcie, opierając się choćby na treści niniejszego pisma, złą wolę WPana Prezesa uważać za stwierdzony fakt. Zaś dowód złej woli WPana Prezesa, da mi podstawę, abym nawet wówczas, kiedy WPan Prezes nie będzie dysponował już żadną prerogatywą, miał tytuł do dochodzenia mych pretensyj na WPanu Prezesie osobiście.

Warszawa, dn. 6 grudnia 1932 r.

Z poważaniem

St. Kopiński“.

„CZY JEST PAN GENTLEMANEM“

Znów rozpoczęło się bezskuteczne wyczekiwanie, Mimo naogół dość rzeczowego i spokojnego tonu listu, por. Kopiński nie otrzymywał żadnej odpowiedzi, co wreszcie doprowadziło człowieka tego, wyrzuconego (przez kaprys biurokracji poza nawias życia, do stanu wrzenia. Znieważany lekceważącem milczeniem pana swego i władcy ukrytego gdzieś w tajemniczych mgłach Olimpu, por. Kopiński zdecydował się na radykalne posunięcie i 31 grudnia 1932 r. wysłał do p. Grubera trzeci i ostatni list, którego do miłych niespodzianek noworocznych p. Gruber w żadnym razie nie mógłby zaliczyć. List ten brzmiał:

„Do Wielmożnego Pana
D-ra Henryka Grubera
Kapitana Rezerwy i Prezesa P.K.O.

w miejscu
Wawelska 24

Do rąk własnych

Wysłałem na ręce WPana, adresowane do Jego prywatnego mieszkania, dwa pisma moje, nadane w Urzędzie Pocztowym Warszawa I, jako polecone listy:

1) w dniu 3 kwietnia 1931 r. za Nr. 1449.

2) w dniu 6 grudnia 1932 r. za Nr. 2493.

Ponieważ do obecnej chwili poczta nie wróciła mi owych pism, przeto jasnem jest, że listy te zostały WPanu doręczone. Nadmieniam, że do pisma wysłanego w dniu 3 kwietnia 1931 r. załączyłem kopertę opatrzoną moim adresem i znaczkiem pocztowym na poleconą odpowiedź.

Na skutek wyżej wymienionych pism moich, nie otrzymałem dotychczas żadnej wiadomości, jeżeli nie liczyć dokonanej w dniu 1 czerwca 1931 r. rewizji przez policję polityczną Warszawskiego Urzędu Śledczego, ce-

(Dalszy ciąg na stronie 2-ej)

CISZEJ, NAD TĄ MOGIŁĄ!

Bilans uroczystości 15 sierpnia

Blady świt zbudził ze snu zmęczone walką dnia poprzedniego oddziały wojska. Zwolna i coraz wyraźniej zaczęły się zarysowywać kontury dział ustawionych w zaroślach. Zimne, zroszone lufy spoglądały na wschód, wiecznie głodne, wiecznie nienasycone.

Późnym wieczorem dn. 14 sierpnia przygotowano dla nich „strawę“ znacznie obfitszą, aniżeli każdego innego dnia.

Stosy granatów leżały obok każdego działa, czekając na swe przeznaczenie — na żniwo śmierci.

O godzinie trzeciej rano zjawił się dowódca baterji przed frontem oddziału i pozdrowiwszy go słowem „czołem baterja“, w krótkich a prostych słowach omówił przewidywany przezeń „rozkład“ dnia.

DZIEŃ 15 SIERPNIA 1920 R.

Zapowiedział, że tego dnia, 15 sierpnia, czeka nas praca ciężka i odpowiedzialna. Przed nami wróg jeszcze pełen wiary w swe zwycięstwo — odczuliśmy to w dniu wczorajszym. Za nami szara wstęga Wisły z przerzuconym przez nią

słabym, pontonowym mostem. O odwrocie w razie przegranej mowy być nie może —

most pontonowy wszystkich oddziałów nie obsłuży...

Ale nikt tego dnia i nie myślał o odwrocie. — Jakaś przedziwna wiara panowała wśród nas, że to, co było, dotąd, to już kres, że wróg musi być złamany i że pójdziemy naprzód, że tę pętlicę usiłującą opleść Warszawę przerwiemy i damy Polsce zwycięstwo i ostateczne Jej oswobodzenie.

Innych kategorji myślenia, my, żołnierze Marszałka nie mieliśmy, bo zwycięska walka była naszym wtedy jedynym celem. Walka w imię najświętszego ideału, którym była niepodległość.

Tak rozumowali Ci, co zostali przy życiu, jak i Ci, którzy w tych krwawych bojach swe życie w ofierze oddali.

Taki był prawdziwy 15 sierpnia 1920 roku. Taka była dusza żołnierza w tym dniu.

Tak też czyn 15 sierpnia przez większość społeczeństwa został zrozumiany i pamięć żołnierza-bohatera, poległego na polach bitew, uczczona wśród majestatycznej ciszy.

* * *

W kościele garnizonowym przy ulicy Długiej gęsty las wielobarwnych sztandarów, ustawionych w dwa szpalery.

Gdy po skończonem nabożeństwie Naczelny Wódz, gen. Smigły-Rydz opuszczał świątynię, wszystkie sztandary, jakby na komendę pochyliły się nad Jego głową. Był to wzruszający symbol wierności i oddania!

HOŁD WOJSKA

Po defiladzie wojska i oddziałów przysposobienia wojskowego, olbrzymi pochód, na czele z kilkunastoma wieńcami, w największem skupieniu ruszył na Plac Józefa Piłsudskiego. Tu słychać było tylko krótką, urywaną komendę, a pozatem cisza.

Sztandary pochyliły się nad grobem Nieznanego Bohatera, wojsko sprezentowało broń, mogiłę przykryto stosem wieńców. Zebrana publiczność mówiła do siebie szeptem, żeby nie zakłócić zasłużonego snu wiecznego Bohaterowi.

Takie było zrozumienie treści dnia 15 sierpnia, takie było wyczucie przez tysiączne rzesze publiczności, biorącej udział w tej podniosłej manifestacji, że bohaterski czyn wojska i genjalny wysiłek Wodza,

były oddane tylko i wyłącznie Polsce

i że one, te świętości nie mogą stać się przedmiotem zgiełkliwego targu rozwydrzonych i zanarchizowanych partyj politycznych.

Biorące tak liczny udział w Święcie Żołnierza i oddające hołd pamięci poległych, społeczeństwo wyraźnie i zdecydowanie raz jeszcze zadało kłam fałszywym prorokom, usiłującym temu społeczeństwu wmówić, że Polskę zbawiło... endeckie kołtuństwo, czy politykierska demagogja!

Społeczeństwo to, w sposób stanowczy i kategoryczny swoją postawą zaprotestowało przeciwko zgiełkliwemu targowisku, jakie dnia tego nad mogiłami poległych żołnierzy urządzono, używając Ich bohaterskiego poświęcenia, jako pokrywki, pod którą kryje się partyjna tandeta, odsuniętych od żłobu leaderów.

* * *

Na parę tygodni przed 15 sierpnia opozycja rozpoczęła energiczne przygotowania do wielkich manifestacyj, które miały stać się przeglądem ich sił i ostatecznie przekonać cały Naród

o zupełnym braku wpływów obozu rządzącego i o wielkiej sile tejże opozycji.

BILANS OPOZYCJI

I rzeczywiście dzień ten dał niewątpliwie dość dokładny obraz tych nastrojów, jakie w społeczeństwie nurtują.

Najbardziej buńczucznie zachowywali się panowie z pod znaku Stronnictwa Narodowego i byli tak pewni siebie, że swoje siły, jakie miały się zgromadzić pod Radzyminem, obliczali na 15 tysięcy zgórą. Warszawscy endecy pokrzepiali się na duchu, jak tylko mogli, a w rozmowach prywatnych ze swymi politycznymi przeciwnikami przechwalali się, że z samej Warszawy wyruszy do Radzymina ponad 8 tysięcy.

RADZYMIŃSKA PORAŻKA

A jak było w rzeczywistości? Ogółem wszystkich uczestników uroczystości radzymińskich było około 5 tysięcy razem ze... Strzelcami, rezerwistami i innemi organizacjami prorządowemi. Naoczni świadkowie tych uroczystości liczbę endeków

obliczają na 2 do 2 i pół tysiąca.

Z samej Warszawy do Radzymina wyruszyło niespełna sześćiuset zwolenników Stronnictwa Narodowego.

Rzeczywistość za to zakłamanie się, za robienie z cmentarza poległych bojowników o Wolność, terenu rozgrywek partyjnych — zemściła się w sposób srogi.

Po tylu wysiłkach, po tak kolosalnym nakładzie energji i środków, wiemy co sądzić o wpływach Stronnictwa Narodowego!

KOMPROMITACJA FRONTU Z MORGES

Front z Morges t. j. spółka Hallera i Korfantego zdołała zgromadzić na akademji zaledwie tysiąc osób, zaś w pochodzie, mimo energicznego

werbowania zwolenników... na ulicy

wzięło udział zaledwie osiemset osób.

Front z Morges skompromitował się nietylko liczbą, ale i zachowaniem się nad Grobem Nieznanego Żołnierza, gdzie zrobiono ordynarnie krzykliwe zbiegowisko.

Co za szalona różnica między tem, cośmy widzieli o godz. 11 rano, a tem, co się widziało i słyszało o godz. 2 po południu.

Poranna uroczystość, nacechowana niezwykłym spokojem i powagą oraz niemal grobową ciszą, była antytezą jarmarcznego zachowania się tych panów z frontu z Morges. Gdyby Nieznany Żołnierz mógł wstać, to byłby tę hołotę za zakłócenie Jego spokoju, za kompletny brak dla Niego szacunku, rozpędził na cztery wiatry.

Dziwić się tylko należy, że nie zrobili tego żywi, że pozwolili na karczemne zachowanie się nad tą nam wszystkim drogą Mogiłą!

KRWAWE WIERZCHOSŁAWICE

Ale najboleśniejszym punktem wszystkich uroczystości były Wierzchosławice. W miejscu obecności wszystkich czołowych przywódców Stronnictwa Ludowego, członkowie tego stronnictwa

pobili polskiego policjanta do utraty przytomności,

a potem napadli na posterunek policji, skąd chcieli wydostać swoją „niedokończoną“ ofiarę, aby ją... dobić. A gdy, to się nie udało, usiłowali podpalić drewniany budyneczek posterunku.

Co za koszmarne zestawienie! Na zgromadzeniu, które miało uczcić pamięć poległych żołnierzy w walkach o Polskę Niepodległą, masakrowano żołnierza, strzegącego z polecenia swych władz przełożonych ładu i porządku wewnętrznego!

WNIOSKI...

Dowodzi to zupełnego moralnego zdziczenia szeregów witosowych oraz o panującej w tych szeregach kompletnej anarchji, świadczącej wybitnie o braku jakiejkolwiek dyscypliny w tem stronnictwie oraz o tem, że wodzowie ludowców są ignorowani przez doły.

Pan Rataj powinien z tego wyciągnąć wnioski jaknajprędzej, dopóki jeszcze nie jest zapóźno!

Oto żałosny bilans uroczystości piętnastego sierpnia!

Ale z drugiej strony i radosny! Bo skoro już zrobiono z uroczystości uczczenia pamięci poległych, polityczne targowisko, to i obóz rządzący musi z tego wyciągnąć właściwe wnioski. Jeden polityczny, a drugi natury uczuciowej.

Polityczny, to ten, że dzień 15-go sierpnia był niewątpliwie punktem kulminacyjnym wzrostu sił opozycji, która poniosła sromotną porażkę.

A teraz strona uczuciowa całego zagadnienia. Można ją zamknąć w kilku słowach — wezwania i przestrogi: ciszej nad tą Mogiłą, bo ona jest świętością całego Narodu i właśnie nad Nią po chamsku zachowywać się nie wolno.

W.

Dokończenie ze strony 1-ej

lem znalezienia w mieszkaniu moim ulotek owych, ośmieszających Go.

Wobec tego, że nieotrzymanie odpowiedzi na owe pisma, potwierdza to, iż WPan pod pretekstem braku wiadomości, pragnie uchylić się od naprawienia wyrządzonej mi w 1929 r. krzywdy i zdecydował się, po przeczytaniu tych pism nie przyjmować do wiadomości i nie udzielać mi odpowiedzi, przeto, wobec powyższego, zrodziła się we mnie wątpliwość, czy ja traktując WPana jako gentlemana, t. j. człowieka prawdomównego, odważnego i wogóle honorowego, nie popełniłem błędu.

zał. pismo z dn. 6.12.1936 r.

Warszawa, dn. 31 grudnia 1932 r.

(—) Stanisław Kopiński
porucznik inwalida W. P.“

I tu następuje najdziwaczniejszy może w całej sprawie zwrot, który ciemnym obłokiem mgieł otacza osobę i postępowanie p. Henryka Grubera.

DZIWNA VOLTA P. GRUBERA

Jak wspomnieliśmy, prez. Gruber jest kapitanem rezerwy i członkiem Związku Oficerów Rezerwy. Również członkiem Związku jest por. Kopiński, a więc — zdawałoby się, że nic prostszego jak podobny list skierować do *sądu koleżeńskiego*

Jednakże kawaler orderów, zasłużony działacz legjonowy i prezes wielkiej instytucji, słowem — człowiek godny najwyższego szacunku, rezygnuje z tej drogi i nie osobiście, lecz za pośrednictwem sekretarza generalnego P.K.O. p. Tadeusza Wasunga występuje ze skargą do... *prokuratora,* domagając się w tejże skardze pociągnięcia por. Kopińskiego do odpowiedzialności z art. 132 Kodeksu Karnego.

Por. Kopińskiemu zostaje wytoczona w sądzie grodzkim Oddział XX sprawa, której przewód dostarczył nam tych właśnie sensacyjnych materjałów. O wynikach tej sprawy, rewelacyjnych materjałach jakie podczas przewodu por. Kopiński ujawnił i o dalszych kolejach losu ofiary zatargu z p. prezesem Gruberem napiszemy w numerze następnym.

Argus.

FAUX PAS KSIĘCIA PANA

Hr. Hochberg dowódcą hitlerowskich szturmówek

Przed niespełna tygodniem, ukazały się w prasie polskiej z I.K.C. na czele, notatki o wizycie kurtuazyjnej starego księcia na Pszczynie wraz z synem Aleksandrem hr. Hochbergiem u p. Wojewody Grażyńskiego. Wizyta ta była podobno pierwszą, od czasu przejęcia Górnego Śląska przez Macierz.

Okazuje się tedy, że Wielki Pan, Książę na Pszczynie,

namyślał się 15 lat,

czy ma złożyć wizytę kurtuazyjną włodarzowi i reprezentantowi rządu Rz. P. na Górnym Śląsku, gdzie Książę Pan na Pszczynie, posiada ogromne latyfundja, zakłady przemysłowe, huty i kopalnie, reprezentujące wartość około miljarda złotych polskich.

Chwalebne to ze strony Księcia Pana, że po tak długiem zastanawianiu się, przyszedł wreszcie do Canossy i złożył swe uszanowanie reprezentantowi rządu Rz. P., że zdobył się również na podziękowanie

za celową i rzeczową gospodarkę

jego majętnościami przez nadzór sądowy, ustanowiony celem zabezpieczenia należności licznych wierzycieli, a w szczególności, pretensyj skarbowych z tytułu wielomiljonowych zaległych podatków.

Lepiej późno, niż wcale, mówi stare, polskie przysłowie!

I bynajmniej nie interesowalibyśmy się tą wizytą, zapisując ją tylko na rzecz moralnych aktywów starego Księcia, gdyby nie pewne „ale".

To „ale", to wielki niesmak, jaki wzbudzać musi wiadomość, że Księciu Panu towarzyszył u P. Wojewody Grażyńskiego, jego

smutnej chwały syn, Aleksander hr. Hochberg.

Wiadomo z notatek prasowych, że Aleksander hr. Hochberg, najmłodszy syn Księcia na Pszczynie, ubiega się o formalne przyznanie mu obywatelstwa Rz. P. twierdząc, że nigdy nie optował na rzecz Rzeszy Niemieckiej, że zapomniał, czy też tylko niedopatrzył formalności, związanych z formalnościami przejęcia obywatelstwa Rz. P. w czasie naznaczonym wówczas przez władze polskie.

Nas jednak informują, że Aleksander hr. Hochberg nie tylko, że optował na rzecz Rzeszy Niemieckiej, na co istnieją dowody w postaci dokumentów i świadków, lecz co gorsze jeszcze, to fakt, że

pan hrabia jeszcze w roku ubiegłym zimą, był aktywnym członkiem hitlerowskiej S.A. oraz, że w tejże S.A. miał szarżę „Obersturmfuhrera",

piastując przytem dość poważny urząd w organizacji S.A. w Monachjum.

Wiadomo powszechnie, że do S.A. przyjmowani być mogą tylko obywatele niemieccy i to obywatele zasłużeni dla partji i ojczyzny. Wiadomość o przynależności hr. Hochberga — amatora na obywatelstwo Rz. P. — do S.A. była dla nas tak sensacyjna, i takiej doniosłości, że postanowiliśmy ją za wszelką cenę sprawdzić, zanim podamy fakt ten do wiadomości publicznej. I oto okazało się, że informacja ta,

jest w stu procentach ścisła.

W naszem posiadaniu znajduje się nawet fotografja Aleksandra hr. Hochberga, przedstawiająca go w mundurze „Oberstumfuhrera S.A." w towarzystwie jednego z najwybitniejszych członków egzekutywy S.A. majora von Buchem w Monachjum, fotografję tę zresztą obok reprodukujemy. Jesteśmy ponadto poinformowani, że w jednym z rozkazów szefostwa S. A. wydrukowano specjalne

podziękowanie i uznanie dla Aleksandra hr. Hochberga

w uznaniu za jego wierną i nader pożyteczną pracę dla organizacji, a ciekawym, gotowi jesteśmy podać liczbę i datę tego rozkazu.

Nie wchodzimy w to, za jakie to specjalne zasługi dla S.A. pan hr. Hochberg został tak wyróżniony przez swoich szefów. Mielibyśmy może z tego powodu pewne zastrzeżenia, nawet co do pobytu hr. Hochberga na terytorjum Rz. P. a zwłaszcza na terenie Górnego Śląska, gdybyśmy z drugiej strony nie byli poinformowani, że w międzyczasie i to rozkazem naczelnej komendy S. A. pozbawiono p. hrabiego Hochberga jego szarży, oraz, że

go sromotnie wyrzucono z szeregów tej organizacji.

Przyczyną załamania się karjery p. Hrabiego w szeregach S. A., były pewne udowodnione mu skłonności i upodobania seksualne, przewidziane w artykule 175 niemieckiego kodeksu karnego.

Oto rozwiązanie zagadki, dlaczego Hrabia Aleksander Hochberg tak nagle poczuł tęsknotę do Polski i teraz dopiero przyznaje się do obywatelstwa polskiego.



Najmłodszy syn księcia na Pszczynie, Aleksander hr. Hochberg (z prawej) w mundurze „oberstumfuehrera" S. A. na dziedzińcu Braunes Haus w Monachjum. Obok zniemczonego Piastowicza stoi major von Buchem, szef egzekutywy sądu NSDAP w Monachjum. Warto zaznaczyć, że mjr. Buchem był dowódcą oddziału egzekucyjnego pamiętnej nocy 30 czerwca 1934 roku. Zdjęcie nasze zostało wykonane w lipcu r. ub.

Rzeczą władz administracyjnych będzie, załatwienie sprawy obywatelstwa polskiego dla p. Aleksandra hr. Hochberga i ta sprawa narazie nas nie obchodzi. Uważamy jednak za niesmaczne, że stary Książe Pan na Pszczynie, poinformowany dokładnie o karjerze i zmierzchu tej karjery swego syna w S. A., uważał za stosowne złożyć wizytę

wysokiemu reprezentantowi Rz. P. w towarzystwie tegoż właśnie syna.

I w tym właśnie niesmacznym geście, tkwi to „ale" owej „kurtuazyjnej wizyty" u p. Wojewody.

Stary Książe Pan na Pszczynie, jest już widocznie za stary i niewrażliwy na elementarne zasady, jak już nie etykiety dworskiej, to przynajmniej demokratycznej „Kinderstube". Wiemy skądinąd, że otacza się on jakimiś podejrzanymi typami, wśród których rej wodzi p. Franz Gruenwald, który jest obecnie głównym pełnomocnikiem i doradcą Księcia Pana na Pszczynie.

Jak nas informują, ów Gruenwald był już kilkakrotnie w kolizji z władzami prokuratorskiemi Rzeszy Niemieckiej, a m. in. w prokuraturze w Monachjum, znajdują się całe tomy z jego nieszczytnej tamtejszej działalności.

Tenże Gruenwald poszukiwany jest

przez władze niemieckie pod zarzutem pospolitego przestępstwa,

co Księciu Panu na Pszczynie bynajmniej nie przeszkadza, w ustanowieniu jego właśnie, naczelnym dyrektorem i doradcą rodziny. Nie interesował by nas i ten fakt, czysto osobisty Księcia Pana, gdyby znowu nie pewne „ale".

Otóż tenże Gruenwald, przebywa na terytorjum Rz. P. w Pszczynie na podstawie paszportu... wydanego mu przez

konsulat grecki w Gdańsku.

Przebywa on zatem w Polsce jako obywatel grecki, podczas gdy jednocześnie pan Gruenwald jest dotąd obywatelem Rzeszy Niemieckiej, przynależnym do m. Monachjum.

Z tym paszportem jest coś nie w porządku... Czy wiedział o tem Konsulat Rz. P. w Pradze, kiedy przed miesiącem udzielał p. Gruenwaldowi wizy na ponowny wjazd i pobyt w Polsce? Czy Konsulat Rz. P. w Pradze był poinformowany i o tem, że władze bezpieczeństwa w Katowicach odmówiły p. Gruenwaldowi przedłużenia zezwolenia na pobyt oraz, że p. Gruenwald, tylko dlatego, ażeby obejść trudności czynione mu przez władze administracyjne, udał się był do Pragi czeskiej i jakby nigdy nic, postarał się o wizę twierdząc, że

pozostawił w Polsce starego — umierającego ojca.

Ciekawi jesteśmy, ilu ojców posiada jeszcze p. Gruenwald, gdyż wiadomo, nam, że jego właściwy rodzic umarł w Monachjum jeszcze przed 5-ciu laty...

Wszystko to są sprawy bardzo ciekawe. Publikujemy je nie tylko ażeby Księciu Panu na Pszczynie wytknąć jego niesmaczną tolerancję, ile również dlatego, ażeby kompetentnym czynnikom zwrócić uwagę, że nie wszystko złoto co się świeci, że nie każdy Hochberg mówi prawdę, że nie każdy jest grekiem, kto legitymuje się greckim paszportem...

(n.)

OLIMPJADA

dała straty

Z ogłoszonych dnia 17 sierpnia r.b. cyfr, dotyczących wydatków i wpływów poniesionych względnie uzyskanych w związku z odbytą Olimpjadą, oraz liczb, dotyczących ruchu obcych w Berlinie, okazuje się, że Komitet Organizacyjny sprzedał ogółem 4 miljony kart wstępu, w czem 100.000 stałych, t.j. ważnych na cały czas trwania Olipjady i na wszystkie zawody za

łączną sumę 7,5 miljona RM.

Wobec tego, że koszty samej tylko organizacji zawodów i propagandy, koszty utrzymania biura, — płace pracowników i robotników — koszty dekoracji dla której zużyto np. około 2000 sztandarów, etc. pochłonęły 6,5 miljona R.M., i to bez kosztów budowli, trwałych zresztą, które obecnie przeznaczone zostaną na inne cele, — przeto bilans ostateczny Olimpjady wykazuje ogromny deficyt, jeśli wliczy się do kosztów poniesionych w związku z Olimpjadą, te właśnie koszty tych monumentalnych budowli, jak teatr, stadjony, „Oly-Dorf" t.j. wioska olimpijska, etc. i t. d., które wybudowane zostały wyłącznie w związku z Olimpjadą. Koszty te, licząc jaknajskromniej pochłonęły minimalnie

około 10 miljonów RM.

Także i frekwencja obcych wykazuje nikłe wprost wyniki.

W czasie trwania Olimpjady przyjechało do Berlina 1.200.000 osób, wśród których było zaledwo

około 150.000 cudzoziemców.

W tej liczbie uwzględnione zostały i ekipy olimpijskie.

Nic dziwnego, przeto, że wielkie, zwłaszcza luksusowe hotele, stały przeważnie pustkami, goszcząc sporadycznie tylko oficjalne osobistości, które były zazwyczaj gośćmi rządu Rzeszy.

Jeśli przyjmiemy, że każdy z tych obcokrajowców zostawił w czasie swej bytności w Niemczech przeciętnie 1000 RM, sumę zatem znaczną, to globalna kwota wpływów dosięgła

zaledwo 150.000.000 RM.

Użyliśmy wyrażenia „zaledwo" — przedolimpijskie bowiem rachuby kalkulacyjne obracały się stale około jednego miljarda RM, jako sumy bilansowej obrotów „w obcych walutach" względnie we wszelkiego rodzaju „Sperrmark", „Sondermark", i t. p. odmianach RM.

(a.)

JAK TAM JEST W G. U. M?

List otwarty asystenta Politechniki inż. Sierzputowskiego

W związku z artykułem o G.U.M., opublikowanym w Nr. 29 „WIEM WSZYSTKO", otrzymaliśmy od asystenta Politechniki Warszawskiej, inż. A. Sierzputowskiego nast. list otwarty:

„Szanowny Panie Redaktorze!

W roku 1934, opisując działalność Głównego Urzędu Miar, zamieściłem w „Gazecie Polskiej" z dn. 13 lipca następującą opinję o wartości wykonywanych przez G.U.M. stalowych stempli legalizacyjnych, a mianowicie pisałem wówczas:

„Cała dziedzina produkcji stempli legalizacyjnych, prowadzona jest w G.U.M. w sposób prymitywny, pozbawiony kontroli technologicznego przygotowania materjałów na matryce, patryce i stemple, jak i naukowej kontroli gotowych stempli i ich zamienności".

Sprawa o tyle nie była błaha, iż produkcja stempli legalizacyjnych G.U.M. co do ważności,

bodaj nie ustępuje produkcji banknotów.

Podrobienie stempla legalizacyjnego G.U.M. w zasadzie w pewnych wypadkach kalkuluje się nawet lepiej, bowiem przy mniejszem stopniu ryzyka, daje znacznie większą sumę korzyści podrabiającemu.

Za pomocą jednego stempla można wybić parę tysięcy cech legalizacyjnych G.U.M. na odważnikach, celowo — nie rzetelnych. Jeden zaś nierzetelny odważnik zaopatrzony w podrobioną cechę G.U.M. w rękach nieuczciwego kupca stanowi prawdziwą kopalnię złota.

W warunkach polskiej rzeczywistości, kiedy

cały prawie drobny handel znajduje się w rękach obcoplemieńców,

dla których każdy interes jest dobry, o ile przy małym stopniu ryzyka daje duży zysk, sprawa należycie zorganizowanej kontroli przy produkcji stempli G.U.M. nabiera specjalnego znaczenia.

Uczciwy kupiec nie jest w stanie konkurować z innym, jeżeli jego konkurent zaopatrzył się w nierzetelne narzędzia miernicze z podrobioną cechą G.U.M. Prawdziwie zaś bezbronną jest ludność odległych od traktu komunikacyjnego wiosek i miasteczek, do których legalizator, wobec niewystarczającej ilości tych legalizatorów, najczęściej nigdy nie zagląda. Jest ona wówczas zdana na łup handlarzy z pod ciemnej gwiazdy, którzy jak mogą wyzyskują sytuację. Widzimy więc, jak ważną jest produkcja stempli legalizacyjnych w G. U. M. i jak wiele uwagi należy jej poświęcić, by jak najwięcej zwiększyć ryzyko, wynikające z ich podrabiania.

Zdawałoby się zatem wobec wagi zagadnienia, iż odpowiednie czynniki zechcą się zająć sprawą postawionych przeze mnie w dzienniku rządowym 2 lata temu zarzutów. Dwa lata powinno w zupełności wystarczyć, aby dokładnie przestudjować, co się z temi stemplami wyrabia w G.U.M., i wówczas jedno z dwojga,

albo należało inżyniera Sierzputowskiego pociągnąć do odpowiedzialności za szerzenie niepokoju i fałszywych wieści,

albo poprostu przegonić tych panów z G.U.M., którzy w ciągu 15 lat istnienia w G.U.M. pracowni stempli, nie nauczyli się ich należycie wykonywać.

W ostatniej dyskusji budżetowej z okazji skreślenia w budżecie G.U.M. 500.000 złotych, p. senator Fudakowski, stając w obronie tego budżetu, użył argumentu, mówiąc, iż na polskich targowiskach mierzy się, jak za króla Ćwieczka.

Może te parę słów wyjaśni nieco, ile w tem, że się tak w Polsce nie korzystnie dla polskiego chłopka mierzy, jest winy panów matadorów z G.U.M., a ile wyzyskujących dobrą dla siebie konjunkturę polskich „kupczyków".

Otóż wyjaśniam, jak tego interes publiczny wymaga i do wiadomości Pana Ministra Przemysłu i Handlu, jako Władzy zwierzchniej G.U.M. podaję, iż w G.U.M.

nie wszystko zrobiono, aby społeczeństwo uchronić

przed zalewem nierzetelnych narzędzi mierniczych. Że zaś nie wzięto pod rozwagę wypowiedzianej przed dwoma laty przeze mnie opinji i z tępym uporem nie starano się naprawić zła, niechaj obciąży odpowiedzialnością karno-sądową dyrektora G.U.M., p. Zdzisława Rauszera. Nie chcąc zaś w tym wypadku być niesprawiedliwym, należałoby moim zdaniem,

tąż samą odpowiedzialnością karno-sądową obdzielić również p. Muszkata, który jako wice-dyrektor G. U. M.

osobiście referuje wszystkie sprawy p. Z. Rauszerowi. Czynię to zresztą z wielką obawą, by nie spotkać się ze strony p. Muszkata z zarzutem antysemityzmu.

Aby zachęcić zaś Władze Prokuratorskie do wejrzenia w tajniki fabrykacji stempli G.U.M. i uniknąć zarzutu gołosłowności, sumaryczne zarzuty swoje z przed dwuch lat rozwijam, streszczając je w 4 punktach:

1) Jest rzeczą zupełnie niedopuszczalną, aby wszystkie sprawy związane z kontrolą stempli G. U. M., ich wymianą, oraz wycofywaniem z obiegu, znajdowały się w rękach urzędnika, nie—technika, z 3-klasowem wykształceniem łódzkiej handlówki. Tenże p. Garczyński, wysoki urzędnik, radca G. U. M. sprawuje kontrolę cech legalizacyjnych, wykrywa cechy podrobione i jego to orzeczenia, jako eksperta sądowego z ramienia G. U. M., są między innemi podstawą do wyroków.

Garczyński nie ma nad sobą żadnej kontroli technicznej, bezapelacyjnie decyduje on i tylko on sam. Tenże Garczyński nie-technik dokonuje technicznego odbioru stempli z warsztatu G.U.M. Oprócz wyżej wymienionych, radca Garczyński, będąc wszechstronny, sprawuje rozliczne funkcje administracyjne nic wspólnego z gospodarką stempli legalizacyjnych nie mające wspólnego.

2) Zaniedbano w G. U. M. mierzyć temperaturę w procesach obróbki termicznej stempli. Piece, w których nagrzewa się stemple przed zahartowaniem, nie są zaopatrzone w urządzenia pirometryczne. Zdanie kierownika pracowni stempli G. U. M., p. Stanisława Tomasika, iż urządzenia pirometryczne są niepotrzebne w G. U. M., dostatecznie dyskwalifikuje go jako kierownika fabrykacji. Metoda magnesu stosowana przez niego do hartowania stempli jest technicznym nonsensem, tem bardziej, gdy piece w G. U. M. nie są zaopatrzone w automatyczną regulację.

3) Odpuszczanie zahartowanych stempli na palniku również świadczy o braku kwalifikacji wyżej wymienionego.

4) Badanie twardości stempli za pomocą pilnika celem wyeliminowania źle obrobionych termicznie stempli i stosowana jako metoda odbioru przez wyżej wymienionego Garczyńskiego dopełnia obrazu metod stosowanych przy fabrykacji stempli w G. U. M.

P. S. P. Tomasik 10 lat pracuje w G.U.M., nie sądzę, więc, aby w ciągu dalszych 10 lat był w stanie powiększyć swój zasób wiadomości i nauczyć się, iż obróbki termicznej stempli nie sposób w roku 1936 prowadzić

metodami wioskowego kowala.

Nie zgodzę się również, ze zdaniem dyrektora G.U.M., p. Zdzisława Rauszera, iż stanowiska radców i to takich, których pieczy powierzono ochronę tak ważnego znaku państwowego, jakim jest cecha legalizacyjna G.U.M., należy obsadzać ludźmi niedokształconymi. Czyż by w Polsce zabrakło już inżynierów?

Raczy Pan Redaktor przyjąć wyrazy szacunku.

Adam Sierzputowski.

W szponach stołecznych kanciarzy

Przygody rodaka z U. S. A. na bruku warszawskim

W ub. poniedziałek złożył wizytę Światowemu Związkowi Polaków z Zagranicy w Warszawie p. Otto M. Tyrała, z pochodzenia Polak, zamieszkały stale w New Yorku. P. Tyrała jest dziennikarzem, współpracownikiem działu zagranicznego nowojorskiego czasopisma ekonomicznego, „The Journal of Commerce". W tym charakterze jeździ dość często po świecie. W Polsce jest po raz pierwszy i z miejsca natknął się na takich kanciarzy, jakich nigdzie jeszcze na świecie nie napotykał.

P. Tyrała przybył do Gdyni statkiem drogą okrężną z Kalifornji dnia 13 b.m. rano i najbliższym pociągiem udawał się do Warszawy. Chcąc się zaopatrzyć w parę sendwiczów na drogę, a mając zaledwie kilka minut do odjazdu pociągu, wstąpił natychmiast po opuszczeniu okrętu do bufetu portowego i zażądał 6, słownie sześć kanapek. Za owe sześć kanapek bufetowy kazał sobie zapłacić półtora dolara w walucie amerykańskiej, to znaczy około 8 złotych.

Osiem złotych za sześć kanapek!

W drogiej Ameryce te same kanapki kosztowałyby zaledwie 30 centów. W taniej Polsce kosztują one półtora dolara. P. Tyrała spostrzegł się, że jest bezczelnie oszukiwany, ale nie miał już czasu, by zwrócić się o interwencję do kogokolwiek. Za kilka minut przecież miał odejść pociąg do Warszawy.

Przybywszy do stolicy, p. Tyrała udał się do Hotelu Angielskiego, w którym telegraficznie zamówił sobie pokój. Oczywiście pokoju wolnego nie było, bo w kulturalnej Warszawie gwiżdże się na takie zachodnio-europejskie wymysły, jak telegraficzne zamawianie pokoju na oznaczony dzień. Kto przyjdzie pierwszy, ten jest lepszy. Ostatecznie, wędrując od hotelu do hotelu, p. Tyrała znalazł z żoną miejsce w Hotelu Wiedeńskim. Była już blisko północ. Oboje byli głodni, wyszli więc wraz z towarzyszącą im panią na miasto. Nie chcąc się objadać na noc, wstąpili do Baru Żywieckiego i zażądali zupy. Podano im po jednym talerzu zupy, i chleb. Czy ktokolwiek domyśla się, ile kelner zażądał za owe trzy talerze zupy i kilka kawałków chleba?

Blisko 8 złotych.

Nie przypuszczamy, aby dyrekcja tego pierwszorzędnego baru wiedziała, jakie kanty urządzają z cudzoziemcami zatrudnieni przez nią kelnerzy. Sądzimy jednak, że z podanego przez nas faktu wyciągnie jak najdalej idące konsekwencje, przeprowadzi surowe dochodzenie i winnego kelnera odda poprostu w ręce prokuratora. Bo to jest przecież najzwyklejsze, najordynarniejsze oszustwo, aby nieświadomego cudzoziemca w tak bezceremonjalny sposób naciągać. A dla przykładu podamy fakt, że kiedy państwo Tyrałowie udali się na kolację do baru „Pod Bukietem" zainteresował się nimi sam maitre d'hotel, rozmawiał z nimi po angielsku, polecił ich specjalnej opiece kelnera. Za dwie kolacje p. Tyrała zapłacił „Pod Bukietem" niecałe 5 złotych.

Nie koniec na tem, P. Tyrała miał na dworcu duży kufer, który zamierzał sprowadzić do hotelu. Wziął więc bagażowego który kufer przyniósł. Z oddziału bagażowego dworca głównego do Hotelu Wiedeńskiego jest zaledwie kilkanaście kroków. Bagażowy zażądał od p. Tyrały wynagrodzenia w sumie ośmiu złotych. Nieświadomemu cen polskich Amerykaninowi wydawało się to jednak zawiele. Wręczył przeto bagażowemu 3 złote i oświadczył mu, że jeśli chce otrzymać więcej, to musi przyjść z policjantem.

Wypadek ten świadczyłby, że p. Tyrała poznał się wreszcie na warszawskich kantach i że nie da się więcej nabrać. Ale gdzietam, Już nazajutrz wypadło p. Tyrale udać się na ul. Sienną, Nr. 17, a nie wiedząc, że z hotelu Wiedeńskiego jest to niewielki kawałek drogi, wziął dorożkę. Dorożkarz bez mrugnięcia okiem

zażądał za kurs 3 złote,

a otrzymawszy zapłatę, zażądał jeszcze najbezczelniej w świecie napiwku na papierosy i otrzymał od dobrodusznego p. Tyrały jeszcze złotówkę. Później dopiero przekonał się Amerykanin, że i w tym wypadku został nabrany.

Wreszcie ostatni fakt:

P. Tyrała przybył do pewnej restauracji na umówione spotkanie z innym Amerykaninem, z którym przybył do Polski na tym samym okręcie. Był on też pochodzenia polskiego, lecz tak zanglizowany, że zna zaledwie jakich 20 słów polskich. Na wytrawnych kanciarzy warszawskich trochę zamało. Bo oto ów Amerykanin pokazał p. Tyrale krawat, nabyty w w Warszawie i dziwił się, że w Warszawie panuje tak straszna drożyzna. *Za krawat, za który w Ameryce byłby zapłacił 70 centów, wzięto od niego 35 złotych..*

Cóż można więcej dodać do podanych faktów? Chyba rzucić, platoniczne zresztą więcej pytanie: Warszawo! czy ci nie wstyd? Gdynio, czy ci nie wstyd? Czy na takich pospolitych kantach gruntować będziemy nasze sympatje wśród cudzoziemców? Czy takiemi ordynarnemi oszustwami przyciągniemy do Polski zagranicznych turystów?

R. N.

Tydzień ubiegły

Wbrew rozlicznym atakom na nasze organa bezpieczeństwa, trzeba stwierdzić, że rządy gen. Kordjan-Zamorskiego na odcinku polskiej policji zaznaczyły się znaczną i bardzo widoczną sanacją kadr policyjnych, powołanych do spełniania niezwykle trudnej i odpowiedzialnej pracy.

Nie znaczy to bynajmniej, aby w przeciągu kilkunastu miesięcy policja nasza przemieniła się w kadry Scotland Yard'u, ale zrobiono wiele, aby z granatowej armji wyeliminować raz na zawsze „wspominki" zaborczych metod i zaborczych tradycji.

I jeśli dzisiaj, mimo to, zwłaszcza na prowincji dochodzi do ostrych scysyj między ludnością a policją, jeśli te scysje niejednokrotnie kończą się dość, oględnie powiedzmy, radykalnemi represjami policji, to wypływa to raczej z pokutującego w administracji prowincjonalnej programu colonelów z naczelnem hasłem „trzymania za mordę".

Naogół jednak, jak stwierdziliśmy wyżej, kadry policyjne, ostatniemi czasy obficie uzupełniane elementem wojskowym, ulegają gruntownym przemianom i to przemianom na lepsze...

Nie znaczy to, aby organa bezpieczeństwa pozbawione zostały całkowicie mniej lub więcej jaskrawych mankamentów, na których czoło wysuwa się dość nieprzyjemna sprawa, którą z obowiązku publicystycznego poniżej postaramy się jaknajobszerniej przedstawić.

Oto w ostatnich paru tygodniach, kilkakrotnie miały miejsca aresztowania niewinnych ludzi, na podstawie doniesień osób ludziom tym nieżyczliwych.

Aresztowanych przetrzymywano przez 24, 48 godzin, a nieraz nawet przez parę dni, aby potem... zwolnić, gdyż okazało się, że doniesienie było fałszywe...

Coś tutaj jest nie w porządku. Boć przecież w głowie nam się nie mieści, aby w konstytucyjnem państwie, które śmiało może uchodzić dzisiaj w Europie za jeden z liberalniejszych krajów, kogokolwiek pozbawiano wolności choćby na jedną godzinę, nie mając żadnych dowodów winy aresztowanego, a opierając się jedynie i wyłącznie na gołosłownych oskarżeniach zawistnych osobników.

Wiemy o tem, że odpowiednie przepisy zezwalają na to, ale niewszystkie przepisy ongiś wydane, mogą być absolutnie dokładnie dopasowane do dzisiejszej rzewistości. I wtedy albo należy je zmienić, albo odpowiednio inteligentnie i życiowo interpretować.

Nasze władze śledcze stać chyba na to, aby aresztowały ludzi, którzy rzeczywiście popełnili przestępstwa. Aresztowanie bowiem ludzi niewinnych jest skandalem, a w stosunku do aresztowanych wręcz zbrodnią.

Człowiek taki, któremu nawet przez myśl nie przeszło popełnić jakiekolwiek przestępstwo, przekonywuje się, że być uczciwym — to mało. Można, mimo tego też dostać się do aresztu. Przejść mękę (dla uczciwego!) badań śledczych i „miłego" pobytu w celi więziennej, będąc powodem kpin i drwin „współtowarzyszy".

Uniewinnienie nie łagodzi bolesnej rany, nie zapobiega załamaniu się psychicznemu. Zwłaszcza, że w naszem miłem społeczeństwie łatwo jest komuś dowieść, że „ktoś" jest łobuzem, ale, że „ktoś" jest porządnym człowiekiem, aresztowanym tylko przez pomyłkę lub świadomie fałszywe doniesienie — tego nikt nie potrafi dowieść.

Mili przyjaciele wysłuchają tłomaczeń, przytakną nawet: „Tak, tak", ale mimo tego pomyślą i będą nadal szerzyć słownie swą myśl:

— A jednak, tam musiało coś być.

To „tam" i to „coś" sprawia to, że powolutku wszyscy odwracają się od niewinnie pokrzywdzonego aresztem człowieka.

I dużo wody upłynie, zanim wszystko wróci do normalnego porządku.

Dobrze jednak byłoby, gdyby niedużo wody upłynęło, a tego rodzaju przepisy uległy zmianie. Obecne bowiem, mamy wrażenie, niewiele ułatwiają pracę naszym władzom śledczym, a krzywdzą niewinnych.

Niech zatem bez dowodów nie będzie wolno nikogo pozbawiać wolności!

Ignis.

Czyżby naprawdę!...

...pani Marja Malicka zarobiła na „Trafice pani Generałowej" około 100 tysięcy złotych, a teraz odmawia nawet 10-złotowych zaliczek swoim współpracownikom? Mówią też, że ostatnie przedstawienia „Profesji pani Warren" nieco szwankują, z powodu zdenerwowania dyrektorki. Powód zdenerwowania: mąż p. Zbyszko Sawan wyjechał do Berlina w towarzystwie... Karola Bendy, Witolda Zdzitowieckiego i Jerzego Olgierda!

•

...zachęcony przyszłemi (!) sukcesami swego żydowskiego filmu z Molly Picon producent filmowy Józef Green zamierza sprowadzić do Polski na nagranie nowego filmu słynnych aktorów żydowskich Edwarda Robinsona i Paula Muni? Powiadają też w „branży", że również inny producent — Anatol Sigał — zamierza nakręcić żydowski film z Józefem Schmidtem. Czy aby żyjemy w Polsce?

•

... jeden z właścicieli dużych gruntów nad Wisłą, wartości około pół miljona złotych, został obłożony dużym podatkiem od niezabudowanych placów? Pikantnym szczegółem jest to, że gruntów tych nie można parcelować, ponieważ władze miejskie przeznaczyły te tereny w planach regulacyjnych na park, boisko i t. p. Parcelować zatem nie można, budować nie można, a miasto nie ma pieniędzy na kupno tych gruntów.

•

... w jednej dużej instytucji bankowej mającej własną pomoc lekarską, odmówiono urzędniczce leczenia u specjalisty ginekologa, kierując ją do lekarza chorób wewnętrznych, który nie mógł jej w niczem pomóc? Leczenie się w tej instytucji jest całkowicie uzależnione od fantazji naczelnego lekarza, b. ministra, który dowolnie, według swego widzimisię kieruje chorych do specjalistów innych chorób, niż potrzebują chorzy.

•

... lekarzowi niemieckiemu, „wielkiemu mahatmie", o którym pisaliśmy w „Wiem Wszystko" w nr. 29, przedłużono wizę pobytową? Nie brak u nas dobrych lekarzy, pocóż zatem pozwalać żerować w Polsce zagranicznym spryciarzom.

•

... w jednej z dzielnic Warszawy, wybrukowano większość ulic na terenach jednego z pływowych członków zarządu Tow. przyjaciół tej dzielnicy? Wartość placów tego członka zarządu wzrosła niesłychanie poważnie, w porównaniu z innymi właścicielami placów w tej dzielnicy.

•

... w stosunku do jednego z właścicieli kawiarni organizacje kelnerskie stosują wielki teror? Odmawiają klijentów, rozdają ulotki bojkotowe, a nawet biją pracujących kelnerów Władze administracyjne ograniczyły swą działalność do wystawienia posterunku policyjnego przed kawiarnią w godzinach wieczornych

NOSIŁ WILK RAZY KILKA

Łowicz nie kocha Greena

Tyle razy pisaliśmy, co myślimy o panu Łowiczu, że możemy raz stanąć w jego obronie. WIEM WSZYSTKO jest pismem zupełnie niezależnem i sprawiedliwem, dlatego też musimy w tym wypadku

przyznać słuszność człowiekowi,

któremu skądinąd mamy wiele do zarzucenia.

Znowu w grę wchodzi tu film żydowski „Idl mit'n fidl", o którym wszyscy współpracownicy opowiadają cuda (nikt jeszcze ich nie widział!). Otóż, uplasowaniem tego filmu na zeroekranie zajmowała się pani Ina Łabędziowa, znana w branży agentka. Film miał być grany w kinie „Sfinks". Tymczasem jednak nic nie wyszło z tranzakcji, ponieważ Związek, do którego należy gmach kina „Sfinks"

sprzeciwił się wyświetlaniu filmu w żargonie.

Wobec powyższego pertraktacje zostały przerwane.

Producent filmu p. Green, obywatel amerykański, który zna się na businessie, obiecał panu Łowiczowi 5% prowizji, o ile ten zdoła wyjednać od Związku Strzeleckiego pozwolenie na wyświetlenie filmu. Pan Łowicz postarał się o takie pozwolenie, wynikiem czego była umowa między kinem „Sfinks" a firmą „Green-Film". Kino wpłaciło p. Greenowi

a conto 15.000 złotych,

wobec czego panu Łowiczowi należało się już według umowy 750 złotych. Tymczasem jednak amerykański businessmen Green o niczem nie chce teraz słyszeć i odmawia zapłacenia owych 750 złotych, jakoteż i dalszej należności w wysokości 5%.

Nie pozostało więc nic innego panu Łowiczowi, jak ostro wystąpić przeciwko niesolidnemu obywatelowi amerykańskiemu. Prawdopodobnie sprawa zakończy się w sądzie. Trafiła kosa na kamień!

(L.)

Makabryczni akwizytorzy

Swoiste Chicago warszawskich „łapiduchów"

Nie tak dawno byliśmy świadkami rewelacyj prasowych o agitacji komunistycznej, uprawianej przez lekarzy i urzędników w szpitalu starozakonnych w Warszawie. Były aresztowania, posypały się dymisje, nastąpiły ponowne przyjęcia do pracy. Obecnie znowu opinja publiczna alarmowana jest wiadomościami o nieporządkach w szpitalnictwie stołecznem, a raczej wyjątkowo niezdrowemi stosunkami, jakie zapanowały w tym resorcie samorządu warszawskiego. Na porządku dziennym zdarzają się bójki konkurencyjne właścicieli zakładów pogrzebowych, szpitale warszawskie są oblężone formalnie przez szczególną odmianę gangsterów-łapiduchów t. zw. naganiaczy dla biur pogrzebowych.

Ostatnią serję bójek „łapiduchów" zapoczątkował głośny napad przed szpitalem Wolskim przy ul. Płockiej. Oto na przechodzącego koło szpitala właściciela zakładu pogrzebowego Feliksiaka Władysława (Żelazna 34), urządziła w biały dzień napad banda mularzy-naganiaczy na czele z niejakim Starczewskim, pracownikiem i głównym subjektem zakładu pogrzebowego p. f. Edward Majewski (Górczewska 18). Mocno pobitego Feliksiaka musiało ratować Pogotowie, a sprawa oparła się o policję.

Władze nie zdążyły przeprowadzić śledztwa w jednej sprawie, jak zdarzył się nowy napad.

Słowem, wytwarza się sytuacja, która wymaga bezwzględnego przewietrzenia zatęchłej atmosfery.

Pod warszawskiemi szpitalami od szeregu lat grasują bandy naganiaczy, pogrzebowych. Rekrutują się najczęściej z mętów społecznych i wszelkiego rodzaju szumowin miejskich. Zadaniem ich jest zdobywanie klijentów między rodzinami zmarłych w szpitalach. Zajęcie jest dość intratne, gdyż zakłady pogrzebowe opłacają naganiaczy sutą prowizją. 15—20% od stawki pogrzebowej — to normalna prowizja.

Naganiacze zakładów pogrzebowych pracują rejonami t. zn. wokół każdego szpitala grasuje oddzielna banda. Tak np. koło szpitala Dzieciątka Jezus znani są jako makabryczni akwizytorzy Wojtczakowie (ojciec i syn), Czesław i Maksymiljan Ozdarscy, Stefan Wieczorkiewicz, Stefan Szejtan i inni. O tym ostatnim pisano często w rubrykach kryminalnych prasy codziennej. Zakłady pogrzebowe współpracują chętnie z naganiaczami, a opinję bardzo przedsiębiorczego pod względem akwizycji zakładu posiada firma Pawła Szejtana przy ul. Żelaznej. Przy szpitalu św. Ducha znane są z aktywności akwizycyjnej zakłady Romana Majewskiego (Elektoralna 10) i Majnika (Elektoralna 19).

Ze wstydem musimy wyznać, że władze nasze wykazały jak dotąd zupełną bierność względem hjenich szajek łapiduchów, a bezczelne bandy naganiaczy jawnie urzędują pod szpitalami od godziny 4-ej rano do godz. 3-ej po południu.

Naganiacze łapiduchów dysponują nawet własnemi bojówkami, a z głośnych „wodzów" znane są nazwiska: Starczewskiego, Aniołkowskiego vel Aniołkowszczaka, a takie postacie, jak „Wątróbka", czy „Pajac", zażywają w tym światku łapiduchów wielkiej powagi.

Obyczaje i praktyki łapiduchów warszawskich są również ciekawe. Żerują oni przedewszystkiem na czci dla nieboszczyka i starają się w każdych pertraktacjach przekonać: że targowanie się o cenę trumny, bądź pogrzebu uwłaczałoby pamięci zmarłego członka rodziny.

W ten sposób zarobki przedsiębiorców i współdziałających z nimi w zmowie gangsterów są niemal fantastyczne i wynoszą nieraz 300%.

Polowanie na ofiary nie tylko odbywa się pod szpitalami. Co gorsze i w... szpitalach przy współdziałaniu służby miejskiej. Oto szwajcarzy szpitalni, posługacze i posługaczki są na usługach niektórych właścicieli biur pogrzebowych. Wzamian za 5% prowizji od stawki pogrzebowej, dostarczają oni właścicielom zakładów pogrzebowych adresów rodzin zmarłych... Kierownicy szpitali wobec tych praktyk są niekiedy bezsilni. Np. kierownik szpitala Wolskiego dr. Dąbrowski niedawno pisemnie prosił 7 Komisarjat Policji Państwowej o opiekę nad szpitalem wobec ciągle powtarzających się bójek konkurujących łapiduchów, a w kancelarji szpitalnej przedsięwzięto środki ostrożnościowe z adresami chorych... Księga chorych jest chowana, zamykana na klucz a wszelkie adresy rodzin chorych są pilnie strzeżone. Mimo to posługacze się wywiadują, a kiedy szpital od zewnątrz jest strzeżony, wyrzucają kartki z adresami nie zmarłych, ale umierających... gangsterom pogrzebowym przez okna.

Zarząd Miejski w m. st. Warszawie rozpoczął dochodzenie dyscyplinarne przeciwko kilku pracownikom (narazie zaczęło się od funkcjonarjuszów Sapińskiego i Augustyniaka w szpitalu Wolskim), ale sprawa ta nadaje się wyjątkowo, aby w nią wkroczył prokurator i nareszcie oczyścił bagno handlu pogrzebowego.

Oko.

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewja — Kino

BURZLIWA MŁODOŚĆ" (kino "Majestic"). Jeżeli ktoś nie zdąży zobaczyć „Burzliwej Młodości" w Majesticu, a lubi sentymentalne historje, zaprawione sosem lekkiej i niewinnej satyry, owiane prawdziwym romantyzmem, niechaj dobrze śledzi programy kin, aby nie przepuścić pięknego filmu Clarence Browna.

Naiwne życie niedawnej przeszłości z jej nieskomplikowanemi burzami i radosnemi chwilami, przedstawione jest tutaj z taką dozą prawdziwego humoru, że trudno naprawdę nie ulec czarowi tej komedji obyczajowej, w której rej wodzi „pijak" Wallace Berry i stateczny ojciec rodziny Lionel Barrymore. Obok tej czołowej pary znakomitych artystów widzimy cały szereg postaci drugoplanowych jakby żywcem ściągniętych z ekranu życia. Perypetje miłosne młodocianego Erica Lindena i milutkiej Cecili Parker bliskie będą sercu każdego widza. Takie epizody, jak popis szkolny, jazda pierwszym samochodem, obchód 4-go lipca, scena w „lunaparze", są perełkami subtelnego humoru. Tym filmem postawił się Clarence Brown na bardzo wysokim stopniu w hierarchji realizatorów amerykańskich.

Nadprogram — doskonały dodatek PAT'a o niedocenionym jeszcze teatrze dla dzieci Tymoteusza Ortyma p. t. „Uśmiech dziecka" Warto go obejrzeć.

„NIESAMOWITY DOM" (kino „Rialto"). Nowa zagadka kryminalna dla amatorów. Tym razem pokazano nam słynnego detektywa Philo Vance'a, który narodził się w fantazji popularnego pisarza kryminalnego S. S. Van Dine'a. Temat „Niesamowitego Domu" jest faktycznie bardzo intrygujący, ale nie powiem, abym tam wszystko zrozumiał. Przypuszczam, że inni zresztą też nie, bo niektóre luki scenarjusza są nie do wypełnienia.

Realizacja filmu (Edwin Marin) nie pozostawia wiele do życzenia, ale też nie wykazuje specjalnych wzlotów twórczych. Ot, poprostu uczciwa i solidna robota. Ma to o tyle zalety, że widzowie wstrzymują przez cały czas oddech, bo nigdy nie wiadomo, czy za chwilę nie rozlegnie się nowy krzyk, nowy strzał...

Rolę sprytnego detektywa gra Edmund Lowe, jeden ze starszych amantów ekranu amerykańskiego. Obok niego widzimy przeciętną, jak zawsze, Virginię Bruce. Reszta wykonawców — na poziomie poprawnej banalności. W roli epizodycznej dra. Gardena ukazuje się niedawno zmarły Henry B. Walthall, ongiś wielka sława filmu niemego.

Nadprogram — doskonała farsa muzyczna z wesołą „Naszą Bandą", oraz ciekawe zdjęcia M. Bila z Biskupina.

„SYN ADMIRAŁA" (kino „Atlantic"). „Syn Admirała", to wykapana „Promenada Miłości". Tam była szkoła kadetów wojskowych w West Point, tutaj szkoła kadetów marynarki w Annapolis. Po zatem ci sami wykonawcy: Dick Powell, tym razem wyjątkowo dobry, Ross Alexsander, John Arledge, fatalna Ruby Keeler, Joseph King etc. Okrasą filmu. jest rola admirała, odegraną ze zwykłą doskonałością przez świetnego Lewis Stone'a.

Dużo propagandy, która nas nic a nic nie obchodzi, dużo marszów wojskowych dla amatorów, trochę śpiewu na lekarstwo, a w rezultacie — słabizna, uczciwie podana przez Franka Borzage'a.

Na „Syna Admirała" wybrać się mogą ci wszyscy, którzy przepadają za tego rodzaju atrakcjami, a nie widzieli „Promenady Miłości", bo — powtarzam — filmy te są podobne do siebie jak dwie krople wody. Szalę zwycięstwa przechyla na stronę „Syna Admirała" Lewis Stone.

Nadprogram — strzępy podłej kopji dobrego filmu krótkometrażowego Leona Jeannot „Warszawa w dniu jesiennym".

X. 27.—

Z ostatniej chwili

Jak łatwo było przewidzieć, artykuł nasz o przedziwnych kolejach zatargu por. Kopińskiego z prezesem P. K. O. p. Henrykiem Gruberem, opublikowany w poprzednim numerze „WIEM WSZYSTKO" nie przeszedł bez echa.

Aczkolwiek w najmniejszym stopniu nie pozwoliliśmy sobie zarówno we wspomnianym artykule, jak i w artykule drukowanym w numerze niniejszym na stronie 1-ej krytykować samą instytucję, której prezesem jest p. Gruber, to jednak właśnie Generalny Sekretarz P. K. O. przesłał nam nader dziwaczne sprostowanie, podpisane przez p. J. Marszałka.

Oczywiście nie mamy najmniejszego zamiaru „sprostowania" tego drukować, już chociażby tylko dlatego, że cały, znajdujący się w naszem posiadaniu materjał dotyczący sprawy Kopiński-Gruber jest materjałem przewodu sądowego, o którym obszerniej napiszemy w następnym numerze, gdzie również autorzy „sprostowania" znajdą szereg potwierdzeń mało istotnych dla sprawy, a tendencyjnie przezstronę zainteresowaną wyolbrzymianych faktów. Aby niewątpliwie zapracowanemu generalnemu sekretarjatowi P. K. O. oszczędzić dalszych kłopotów z nowemi „sprostowaniami", zgóry podajemy do wiadomości publicznej, że p. Gruber był „wspaniałomyślny" i dał por. Kopińskiemu efektywne 500 zł. „zapomogi", a obrażony jego listami, tegoż por. Kopińskiego zaskarżył do sądu, gdzie ex-pracownika P. K. O. skazano na 2 mies. aresztu. Ale o tem w następnym numerze.

REDAKCJA

Łączka kretynów

Kino „Apollo", własność sławnego z bojów pod Balcerkami Gucia Lejmana, w ten sposób reklamuje w „Naszym Przeglądzie" premjerę:

„DWA BRYLANTY NA ŚMIETNISKU
Na marginesie dzisiejszej premjery w kinie „Apollo".

Czy filmy, które „Apollo" wyświetla, są istotnie brylantami, to inna sprawa, ale, że ten kto taką notatkę spłodził jest... śmietnikiem kretynizmów, to fakt.

*

W nr. 206 „Małego Dziennika" znajdujemy ozdobną kliszkę przedstawiającą zbiornik gazu w Sztokholmie. Braciszek zakonny z Niepokalanowa dał do tej kliszy nast. tytuł:

„Największy gazomierz Europy".

Jedynie szacunek dla zakonnej sukienki powstrzymuje nas od stwierdzenia: „największy tuman w Niepokalanowie i okolicy".

*

W Expressie Porannym z dn. 3 b.m. czytamy w sprawozdaniu sportowem:

„Najbardziej wrażliwym okazał się Peterek, to też trzeba mu było zaaplikować odpowiednie masaże. Niedyskrecja środkowego napastnika nie jest jednak groźna. Jeszcze jeden masaż, jeszcze jeden ciepły prysznic a dolne kończyny funkcjonować będą jak na skrupulatnie naoliwionych zawiasach".

Gdyby to pisała Krzywicka, wszystko byłoby „w pariadke", ale spokojny, zrównoważony, dwukrotnie żonaty Stasio Rothert... Fe, Stasiu, czy to jest odpowiednie zajęcie dla żonatego goja?

*

Dla odmiany inny „czerwoniak" t.zw. Dobry Wieczór w numerze z tegoż samego dnia w „Migawkach olimpijskich" donosi, że:

„Szapsio jest pod troskliwą opieką niemieckich lekarzy."

Rotholc, nie bądźcie dzieckiem. Troskliwość, troskliwością, a kto potem będzie psuł rasę? Niemcy to chytry naród...

* * *

W nr. 224 „Małego Dziennika" znajdujemy następujący wdzięczny obrazek:

„W ostatnich dniach Polesie nawiedziła plaga much, której nie mogą pokonać żadne proszki trujące, lepy ani flit. Tegoroczne muchy są niezwykle żarłoczne zwłaszcza, podczas posiłków nie dają spokoju. W tym celu domownicy zasiadają do stołu, uzbrojeni każdy w gałązkę. Aby móc rozmawiać, nie narażając się na połknięcie muchy w locie, wymachuje się gałęzią przed ustami.

Gdyby tak tuzin latających much połknął autor rubryki „Czy wiecie, że..." możeby uchroniło to czytelników sympatycznego dziennika od czytania podobnych idjotyzmów

* * *

Powieść „Karjerowicz" drukowana przez wybitnego literata p. E. M. Szermentowskiego w „Gońcu Warszawskim" jest dla bardziej uważnego czytelnika nieprzebraną skarbnicą humoru. W odcinku 72 czytamy:

„Noce ich były upojne, szalone; przywierali do siebie drapieżnie, wiecznie nienasyceni, szczęśliwi, beztroscy.
— Kochasz mnie trochę? — pytała Zosia, zasypując go pocałunkami.
Nic nie odpowiadał, tylko mocniej jeszcze obejmował jej drżące ramiona, krył głowę na jej piersiach i kąsał jej różowe ciało zębami, jak szczeniak w pieszczotliwej zabawie."

Co tu dużo gadać, p. Szermentowski jest „istienny" Srokowski. tylko z tym kąsaniem to trochę nie tego, kochany panie E. M. S rak może wyniknąć i co wtedy?...

Stary pies.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł.: Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 13-ej Konto w P. K. O. Nr. 15,581

Redaktor: Henryk Sieciński. Wydawca: Włodzimierz Popławski

Druk. „Kolumna" Warszawa, Nowy Świat 39